

JANINA MATYSEK

ur. 1930

Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne, życie codzienne, Kośminek, ulica Długa

Bida na sto dwa

W tej kamienicy na Długiej było tak wesoło. Było nas dziesięcioro, bo gospodarze mieli dzieci. Jedna gospodyni miała dwóch synów, druga miała córkę i syna, trzecia miała troje, dwóch synów i córkę, gospodarz miał trójkę, a nas było cztery.

Tam mieszkali Jurek, Irka i, o Jezu, Zośka, która mnie okradła. Ona ze mną się bawiła. Pamiętam, mamusia składała pieniądze, pracowała i składała. Takie srebrne dwa złote było. Nie było szafy, tylko deska, na której leżało ubranie. Zośka wtedy była i widziała, że akurat mamusia wkładała te pieniądze. Wcale się nie kryłam, bo nie kradłam. Nie byłam pewna, że ktoś może przyjść i wziąć. Ona klucz wykradała, a kładłyśmy klucz pod beczkę. Ta beczka przy drzwiach w rogu stała. Ona okradała, wzięła pieniądze. Poszła do sklepu, kupiła sobie cukierków, lemoniadę, zabawki. Poszła na podwórko, położyła sobie taki chodnik w paski, usiadła i to wszystko rozłożyła. Loda sobie kupiła, za mojej mamusi pieniądze. Podeszłam do niej. O niczym nie wiedziałam. I gospodyni pyta się: „Zosiu, skąd ty te masz pieniądze? Kto ci to kupił?”. „A pan mi kupił”. Taki wysoki weterynarz przychodził do jej matki, był jej przyjacielem. „Ale ci dużo kupił”. Mamusia, za tydzień, czy dwa szukała pieniędzy. Chciała buty wykupić, bo zamówiła buty, trzewiki brązowe, sznurowane. Najpierw ubierała siostrę najstarszą, bo już do szkoły chodziła. Nie ma pieniędzy. Kto ukradł? Zośka! Bo Zośka się ze mną bawiła, ja ją przyprowadziłam, ona widziała i ukradła te pieniądze. Oberwała strasznie, tak strasznie ją zbili. Jej wujek pracował w młynie. Duży sznur przywiózł, zmoczył, skręcił, i tak strasznie ją bił, żeby się przyznała. Przyznała się, że ukradła pani Kusiowej. „Od Kusiowej ukradłam”, tak powiedziała. Ale jej matka nie oddała, bo u nich była gorsza bida, jak u nas.

Ich było dwie, matka sama pracowała. Mieszkały u takiej babci, staruszki po sąsiedzku. Ta staruszka chodziła po proszonym, po mieszkaniach chodziła. Pamiętam, wujek mi kupił na imieniny królika, żywego, białego, ładnego królika. Ja się z tym królikiem bawiłam. On taki ładny był, w klatce siedział. Mamusia miała działkę. Dałam królikowi kapusty z rosą. Królik pękł. Zdechł. Zaczęłam płakać, że nie

mam królika. Ta właśnie Skowronkowa, staruszka mówi: „Jasiu, gdzie masz tego królika?”. „A nie mam”. „A gdzie? „Umarł”. „A gdzie jest pochowany?” Nie chciałam pokazać, ale ta tak się czepiła mnie i pokazałam. Włożyłam go do woreczka. Tam, gdzie się śmiecie wyrzucało, w ogrodzie, przy parkanie wykopałam ziemię i pochowałam królika. Płakałam strasznie. Ona mówiła: „Jasiu, pokaż mi, pokaż mi, gdzie on, gdzie on?” Pokazałam. Ona wzięła, wykopała tego królika, wyprawiła skórkę, położyła koło łóżka, a mięso zjadła.

Ona była bogata jak było Wszystkich Świętych. O drugiej w nocy wstawiała i pod cmentarz na ulicy Unickiej szła. Tam były kolejki, po jednej i po drugiej stronie, tyle ludzi było. Jak ludzie szli na cmentarz na groby, to wtedy dawali na te wypominki, żeby o dusze się nie martwić. Wtedy zarabiała gospodynie, starsze ludzie, a tak nie było pieniędzy.

Bida była na sto dwa. Ojciec grosze zarabiał, trochę tu, trochę tam. Miał swojego konia i jeździł ambulansem. Tego konia później sprzedał, bo nie miał gdzie go trzymać.

Z bidnej rodziny pochodzę, dziadowskiej. Siostra w głębokiej suterynie mieszkała, po schodach się schodziło. Tam było zimno. Na węgiel się paliło w piecyku, który stał na środku z jedną fajerką. Rury były po mieszkaniu, żeby było cieplej ogrzewać. Jedna duża izba była. W niej były trzy łóżka, stół. Zamiast szafy była ściana zastłonięta ubraniami. Kuchnia była węglowa. No tak się mieszkało. Wodę przynosiło się w wiaderkach. Chodziło się na podwórko do ubikacji. I tak było, nie tak jak ludzie teraz mają w blokach.

Pamiętam to co złe i dobre, ale głodne nie byliśmy. Mamusia co mogła, to zrobiła. Ugotowała nam zupę w dużym garnku, krupnik, była zacierka. Najlepiej lubiliśmy zacierkę. Mamusia na cały dzień wyszła, zostawiła nas. Tylko w niedzielę, było to co dobre, kawa z mlekiem, nieraz ciasto, mamusia upiekła, były dwa dania. Tak to jedno danie było, bo nie było pieniędzy.

Bawiłyśmy się w skakankę, chowanekę, rysowałyśmy klasy, ktoś coś wygrał albo cukierka, albo coś innego. Kostka cukru to były cukierki. Jak był na święta placek z marmoladą i dostałam kawalek, poszłam na podwórko i mówiłam: „Ja mam placek, aaa”. „Sitwa!”. Musiałam dać. „Sitwa!”. Dało się, oni wtedy korzystali. U nich była gorsza bida, matka nie mogła im upiec. Ojciec ich chorował, matka pracowała w monopolu tak na sezon.

Żona gospodarza pani Krukowska miała trzydzieści trzy lata jak umarła na raka. Kiedyś mówiło się po cichu, jak ktoś chorował na raka. Nie wiem dlaczego. Ludzi chorowali. Chorowaliśmy. Ja na koklusz chorowałam przez dłuższy czas.

Jak chodziłam do szkoły na Kośminku, to specjalnie w przerwie uciekaliśmy i koło kościoła św. Michała, tam koło mostu, (teraz to bloki wielkie postawione) były takie chawirki, punkty usługowe żydowskie. Mamusia krzyczała, żebyśmy nie latały, bo Żydy łapią na macę. A my specjalnie chciałyśmy, żeby zarobić parę groszy, by on nas łapał. Złapał mnie raz, zaprowadził mnie do swojej budy i mówi, czy umiem palić

pod kuchnią. Ja mówię, że tak. Rozpaliłam i on mi dał trzydzieści srebrników, trzydzieści groszy. Te trzydzieści groszy zapakowałam w papierek i tak hu, hu tak chuchałam na trzydzieści srebrników. Wracalam ze szkoły, nie przyznałam się, że od tego Żyda dostałam. Poszłam do piekarzy i kupiłam sobie bułki, świeże rogaliki, cebularza. Tak na Żelaznej było. Tak się cieszyłam. Przyszłam i mówię do sióstr: „A ja mam, a ja mam eeee”. „Daj mi trochę!”. „A ja mam!”. Miałam obwarzanek duży. Sąsiadki chłopaki były, gorzej biedniejsze, jak my, nic nie miały. „Sitwa!”, no to dałam. „Sitwa” to trzeba dać i podzieliłam się. On się cieszył, że żydowskie pieczywo je. Takie dobre od piekarza, Polak był, tylko za Żydów, żydowskie pieczywo. Chciałam się uczyć zawodu. Tylko, że nas było cztery. Mamusia sama, nie miała pieniędzy. Siostra najstarsza dobrze się uczyła, do Sobolewskich do szkoły chodziła. A jeszcze trzy nas było. Koleżanka namówiła mnie, że trzeba uczyć się zawodu, rękawiczki robić, kleić. Na krajalni, później się kleiło albo się szyło. I ona nie została i ja też nie, bo byłyśmy bidne. Przyszło zarządzenie, żeby się zapisać do tej spółdzielni. Trzeba było zapłacić pięć tysięcy. Pięć tysięcy, przed wojną pięć tysięcy, skąd wziąć. I mówię: „Mamusi, chciałam się uczyć zawodu. Tak mi się to podoba, a trzeba się zapisać i zapłacić pięć tysięcy”. „Córciu, nie jesteś sama, was jest cztery, a ja sama robię. Widzisz, jak tatuś daje?” A mój tatuś se lubiał tu. Co poszedł, zarobił, węgiel woził, czy tam coś pomógł, to na kielicha. A mamusi nie dał, na dzieci nie dał. To było takie życie. O. Bida.

Data i miejsce nagrania	2010-09-10, Lublin
Rozmawiał/a	Emilia Kalwińska
Redakcja	Łukasz Kijek
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"